

DUŻE RZECZY w małych miastach

**KAROLINA
ROZWÓD**

- dyrektorka
Teatru Starego
w Lublinie.
- Wróciłam
do Lublina
po roku spędzo-
nym w Paryżu
i kilku latach
w Warszawie.
Właśnie sprzeda-
łam warszawskie
mieszkanie

GUSTA i GUŚCIKI

Sztuka pozwala wyobrażać sobie życie, jakie chcesz. Bez względu na to, co robisz, możesz wymyślić sobie wszystko. To daje wolność

tekst ALEKSANDRA BOCKOWSKA zdjęcia CELESTYNA KRÓL

W dużych miastach każdy, kto zajmuje się kulturą, powie, że w Berlinie, ech, tam to mają dobrze. W mniejszych jakoś nie powołują się na większe. Nie, że nie mają kłopotów. Zawsze znajdzie się radny, który ma inne zdanie na temat repertuaru, albo konserwator zabytków, który powie, że nowa rzeźba zniszczy stary park. Zawsze mogłoby być więcej pieniędzy.

Lublin, Tarnów i Jarocin nie mają ze sobą nic wspólnego. Poza tym może, że nie leżą na głównej trasie. Lublin – ponad 350 tys. mieszkańców, spore wojewódzkie miasto. Dwa razy mniejszy Tarnów był wojewódzki po reformie w 1975 roku i ciągle się z tego otrząsa. To, co najważniejsze, zdarzyło się przed wojną – wtedy zbudowano fabrykę Azoty, a wokół niej modernistyczne osiedle Mościce, wtedy gimnazjalista Tadeusz Kantor malował pierwsze obrazy. 26-tysięczny Jarocin kurczowo trzyma się tradycji rockowego festiwalu – bez tego byłby zwykłym powiatowym miastem.

Dziewczyny, które zajmują się kulturą, wiedzą, dla kogo pracują. Bywa, że idą ulicą i ktoś zagadnie, że przeprasza, nie był na wernisażu, ale sprawy rodzinne.

Albo widz napisze maila, czy aby na pewno nie ma już biletów, może dla niego jednak jeden został. Lub trafi się rozżalony rodzic narzekający, że już trzeci rok z rzędu dziecko nie zakwalifikowało się na noc w bibliotece, widać to tylko dla znajomych.

O tym, jak opowiadać o kulturze z dala od metropolii i co z tego wynika, mówią:

Justyna Daniel – wicedyrektorka Biblioteki Publicznej Miasta i Gminy Jarocin,

Ewa Łączyńska-Widz – szefowa galerii BWA w Tarnowie,

Karolina Rozwód – dyrektorka Teatru Starego w Lublinie.

START. DOBRZE SPOTKAĆ CZARODZIEJA

KAROLINA: Pamiętam ten telefon: – Jutro przyjeżdża Rita Gombrowicz, bez tłumacza. Ty znasz francuski, pomożesz nam.

To był 2001 rok. Janusz Opryński, z którym od lat współpracowałam przy lubelskich Konfrontacjach Teatralnych, i zaprzyjaźniony z nim Janusz Palikot postanowili poświęcić Konfrontacje Gombrowiczowi. Przyjechała pani Rita, poza nią goście z Warszawy, a ja tłumaczyłam tę naradę. Straszny stres. Raz – merytorycznie. Dwa – językowo. Kończyłam wtedy iberystykę, znałam francuski, ale co innego znać język, co innego tłumaczyć wielogodzinne spotkanie. Rozmowa zaczęła się od Konfrontacji, a skończyła na tym, że właściwie zaczęliśmy myśleć nie tylko o Lublinie, ale o całej Polsce i całym Roku Gombrowicza.

Nazajutrz wykończona siedziałam w domu. O godz. 21 zadzwonił Opryński: – Jedziemy do Palikota.

– Śpię – odparłam.

Pojechaliśmy, bo trzeba było sporządzić notatkę, przetłumaczyć, wysłać do pani Rity. Słowem – działać.

Potem pojechałam na rok do Paryża studiować zarządzanie instytucjami kultury. To były podyplomowe roczne studia, bardzo cenne. Nauczyłam się tam planowania, zyskałam świadomość ekonomiczno-prawną. Wróciłam w lecie 2003 roku, znów pracowałam przy Konfrontacjach Teatralnych. W tym czasie zadzwonił Janusz Palikot.

– Co robisz?

– Kończę festiwal.

– To potem przyjedź do Warszawy, jest robota.

Zostałam koordynatorką Roku Gombrowicza. Dzięki temu, że nie miałam świadomości, jak trudne jest przeprowadzenie różnych rzeczy, udało mi się więcej, niżbym się spodziewała. Poznałam mnóstwo ludzi. Potem zostałam jeszcze na parę lat w Warszawie – pracowałam w tworzącej się TVP Kultura i w PISF. Wróciłam do Lublina, bo tu zorganizowałam sobie życie prywatne. Zaszłam w ciążę, nie mogłam już przemieszczać się tak często. Lublin akurat ubiegał się o tytuł Europejskiej Stolicy Kultury. Chodziłam na spotkania z Bartkiem śpiącym w chuście. Przegraliśmy te starania, ale udało się wtedy ściągnąć fundusze europejskie na remont Teatru Starego. Kameralny budynek na Starówce powstał na początku XIX wieku, w PRL funkcjonował jako kino, potem był już tak zniszczony, że trzeba było zamknąć. Znalazł się nawet na liście najbardziej zagrożonych zabytków świata.

Wystartowałam w konkursie i zostałam dyrektorką nowego Teatru Starego.

JUSTYNA: Chciałam studiować historię albo archeologię, koniecznie w Krakowie. Potem uczyć dzieci albo jeździć po świecie. Byłam w klasie maturalnej, gdy zmarł na nowotwór mój tata, najbliższy mi w życiu, i zachorowała mama. Mój brat miał dziewięć lat. Nie mogłam wyjechać. I nie chciałam zresztą, byłam w psychicznej rozsypce.

Po maturze poszłam do szkoły bibliotekarskiej w Jarocinie – przyjeżdżali tu ludzie z całej Polski, ale dla nas, jarociniaków, to był synonim porażki – nie udało się nic innego, to idziesz tu. Potem dostałam pracę w filii biblioteki miejskiej przy ratuszu. Koszmar. Byłam opryskliwa dla czytelników, dzieciaki się mnie bały. Nie wypożyczałam, jeśli nie pamiętały tytułu. Dorosłych, którzy pytali, co bym poleciła, odsyłałam między półki. Sie- »

DUŻE RZECZY w małych miastach

działam naburmuszona. Aż któregoś dnia zjawiał się czytelnik, który powiedział: – Wszystko jest fajne w tej bibliotece, wybór książek znakomity, ale gdyby pani chociaż podniosła głowę i czasem się uśmiechnęła, byłoby dużo milej.

Odwrócił się i wyszedł. Pomyślałam: „Jak się nie ma, co się lubi, trzeba lubić, co się ma”.

Lubiłam Harry’ego Pottera. Kiedy ukazał się „Harry Potter i czarna ognia”, zorganizowałyśmy andrzejki. Były wróżby, czarodziej, dekoracje, czarne koty. Dzieci były zachwycone. Kiedy w 2001 roku zbliżała się premiera następnego tomu, powiedziałam dziewczynom: – Zrobmy w bibliotece wydarzenie.

Zaangażowałyśmy całe miasto. Sklepy wypożyczyły lampiony, manekiny, stroje. My niemal przebudowałyśmy bibliotekę – regały przesłoniłyśmy zasłonami, były girlandy, świece, magia na całego. To był styczeń, mróz sięgał 20 stopni, wszyscy mówili: – Nikt nie przyjdzie.

Przed północą kolejka otuliła ratusz. Tłum był taki, że nie wpuściliśmy rodziców – nie zmieściliby się. To przesądziło sprawę. Zrozumiałam, że chcę tu zostać.

EWA: Dorastałam w Szczucinie, studiowałam historię sztuki w Krakowie. Do Tarnowa przyjechałam, bo było tu rodzinne mieszkanie. Nie wiedziałam, co będę robić. Dostałam pracę na zastępstwo jako sekretarka w teatrze, ale zaraz też zaszłam w ciążę. Nie przedłużono ze mną umowy, zajęłam się pisaniem CV. Wysłałam ze 40, dostałam jedną odpowiedź – odmowną. Aż mąż przeczytał w gazecie, że radni przyznali dyrektorowi BWA pieniądze na dodatkowy etat. Napisałam maila. Bogusław Wojtowicz spotkał się ze mną, gdy Weronika miała kilka tygodni. Powiedziałam, że mam małą córkę, on odparł, że nie ma pieniędzy ani dużych perspektyw, ale potrzebuje człowieka, który zajmie się sztuką współczesną.

Rok później dyrektor zaproponował, że bym została jego zastępczynią. Zostałam, a on krótko potem zmarł. To zbiegło się w czasie ze zmianą siedziby – z ciasnych pomieszczeń w rynku dostaliśmy najpierw miejsce na dworcu, a potem odbudowywany z kompletnej ruiny Pałacyk Strzelecki. Na starcie zmierzyłam się z procedurą zdobywania i rozliczania unijnych pieniędzy.

Moim pierwszym autorskim projektem był „Alfabet polski” – opowiadałam o współczesnych artystach, najpierw sama, potem zapraszałam ich. Pola Dwurnik po-

wiedziała mi wtedy coś bardzo ważnego: – Rzadko jest tak, że artysta podoba się każdemu. Dla kogoś coś jest super, dla innych to samo będzie obciachowe. To ty decydujesz, co dla ciebie jest wartościowe, nawet jeśli wszyscy mówią inaczej. Musisz mieć swój kompas.

KOMPAS

Ten kompas jest bardzo ważny, bo prowadzenie instytucji kultury w małym mieście wiąże się z ciągłym balansowaniem między własnym gustem, gustem publiczności, oczekiwaniami samorządu i możliwościami budżetowymi. Wiąże się też, choć brzmi to górnolotnie, z misją.

Żeby – jak w Jarocinie – ludziom chciało się mówić o książkach. 20 lat temu, kiedy Justyna Daniel zaczynała pracę, biblioteka zajmowała się głównie wypożyczaniem, dziś to może 10 proc. wszystkiego – reszta to działalność okołobiblioteczna, która ma zwiększyć liczbę czytelników.

Żeby – jak w Tarnowie – oswoić ludzi ze sztuką współczesną, która uchodzi za niedostępną.

Żeby – jak w Lublinie – pokazać ważne rzeczy, które dzieją się w kulturze w ogóle. Teatr Stary, na przekór nazwie, jest miejscem, gdzie mówi się o tym, co nowe. Nie ma zespołu – spektakle przyjeżdżają z całej Polski, a poza tym jest kino, literatura, muzyka, debaty i transmisje z nowojorskiej Metropolitan Opera. W ciągu pięciu lat odbyło się 1500 wydarzeń, wystąpiło 2000 artystów.

Wiąże się to, wreszcie, z pracą biurową. Stosowaniem się do instrukcji kancelaryjno-archiwizacyjnych (każde pismo musi mieć numer i być w określony sposób zarchiwizowane), pisanem wniosków o granty do ministerstw, fundacji i Unii Europejskiej, negocjacjami z menedżerami artystów, słowem – całą tą świadomością ekonomiczno-prawną, której Francuzi uczą na studiach.

Dopiero potem w Lublinie występuje Marianne Faithfull, w Jarocinie na spotka-





EWA ŁACZYŃSKA- -WIDZ

- szefowa galerii
BWA w Tarnowie.
- Kolega ze studiów
spytał niedawno:
„Ciagle siedzisz
w tym Tarnowie?”.
Dlaczego miałabym
jechać gdzieś
indziej?

JUSTYNA DANIEL

(po lewej)

- wicedyrektorka
Biblioteki Publicznej
Miasta i Gminy
Jarocin.
- Studiowałam
w Krakowie,
wszystko mi się tam
podobalo, ale
wiedzialem już, że
moje miejsce
jest w Jarocinie

nie z Wojciechem Mannem przychodzi 400 osób, a w Tarnowie na jednej z wystaw udaje się pokazać filmy Williama Kentridge'a.

PRZEŁOM. PODZIAŁY SĄ NIEPOTRZEBNE

KAROLINA: Mniej więcej po roku istnienia Teatru Starego skontaktował się z nami Teatr Polonia. Współpracowaliśmy od początku. Wtedy powiedzieli, że Krystyna Janda przygotowuje nowy monodram, na razie nie mogą ujawnić jaki, ale jeśli jesteśmy zainteresowani, to poszukają terminu.

Wtedy pomyślałam, że to, co robimy, jest słuszne.

Krystyna Janda wystąpiła u nas ze spektaklem na podstawie autobiografii Danuty Wałęsowej dwa tygodnie po premierze w Gdańsku. Regularnie do nas wraca. Wracają też inni: Anna Maria Jopek, Dorota Miśkiewicz, Renata Przemyk, Marek Napierkowski, Włodek Pawlik. Lubią tu być, bo jeśli przyjeżdżają na dłużej, nie muszą się

ruszać ze Starego Miasta. Adam Ferency, który spędził tu trzy tygodnie, powiedział, że Lublin jest jak Florencja.

Myślę, że ten urok prowincjonalnego miasta – nie tak daleko od Warszawy, funkcjonującego w wolniejszym rytmie – dobrze robi zabieganym artystom.

O tym, że Teatr Stary będzie impresaryjny, wiedziałam, zanim zgłosiłam się do konkursu na dyrektora. To był pomysł miasta. Do mnie należało opracowanie repertuaru. Stwierdziłam, że nie znam się przecież na wszystkim, więc zaprosiłam do współpracy kuratorów – specjalistów w różnych dziedzinach. Powierzając im program, dostałam gwarancję jakości. Ale i tak, ogłaszając pierwszy repertuar, bałam się, z jakim się to spotka odbiorem. Po bilety ustawiła się kolejka. Początkowo pierwszego dnia sprzedazy ustawiała się o godz. 10, kiedy otwieraliśmy kasy, potem o 9, aż kiedyś przyszedłam do pracy o godz. 8 – koniec lutego, zimno, padało – a ludzie już stali. Musiałam tłumaczyć, że wchodzę służbowo, to było bardzo

wzruszające.

JUSTYNA: W 2009 roku Agnieszka Borkiewicz, z którą pracowałyśmy w filii, awansowała na dyrektorkę Biblioteki Miejskiej w Jarocinie i zabrała mnie ze sobą, z czasem zostałam jej zastępczynią. W tym czasie ruszył finansowany przez Fundację Billa i Melindy Gatesów Program Rozwoju Bibliotek. Duża rzecz – sto milionów do podziału na 3,8 tys. bibliotek plus sprzęt komputerowy. Zgłosiliśmy się, bo chcieliśmy mieć komputer i ksero. A dostałyśmy dużo więcej. Byłyśmy na dziesiątkach szkoleń, które owocowały kontaktami i wiedzą, jak pracować, by biblioteka była ważna dla społeczności lokalnej.

Bo Harry Potter czy spotkania ze sławnymi autorami to są wydarzenia – w ciągu roku możemy zaprosić dziesięć osób – na więcej nas nie stać, natomiast na co dzień musimy dbać, by biblioteki były na mapie miejsc ważnych dla mieszkańców. Dlatego zdarza się, że w którejś z naszych filii organizowane są warsztaty lepienia pierogów albo szycia. Urządzamy rajdy rowerowe. Kiedy ukazało się wznowienie „Młynu nad Lutynią” Jarosława Iwaszkiewicza, pojechaliśmy z czytelnikami zwiedzić Młyn, a potem zaprosiliśmy ich na spotkanie z Anną Król, autorką książki o Iwaszkiewiczu. Współpracujemy z innymi instytucjami w mieście. Kiedy ze spektaklem przyjeżdża znany aktor, my organizujemy z nim spotkanie. Gdy kino wyświetla film biograficzny, u nas odbywa się dyskusja o książce poświęconej bohaterowi. Zapraszamy pisarzy dziecięcych i autorów piszących o regionie.

Być może dzięki temu, choć wciąż słychać o likwidowaniu bibliotek, my wciąż mamy wszystkie nasze dziesięć filii. A od zeszłego roku zawiadujemy Jarocińskim Ośrodkiem Kultury.

EWA: Po „Alfabecie polskim” spotkałam się z uczniami liceum plastycznego. Rozmawialiśmy o sztuce, poprosiłam o interpretację obrazów. Jedna z uczennic napisała: „Wyczuwam tu niepokój podobny jak w pracach Erwiny Ziomkowskiej”.

Erwina była gościem „Alfabetu”. To był ważny sygnał, że to, co robię, nie trafia w próżnię. Ale przełomem była dla mnie wystawa „Tarnów. 1000 lat nowoczesności” poświęcona Mościcom. Z pomysłem przyszedł Dawid Radziszewski, jeszcze do dy- »

rektora Wojtowicza. On powiedział: – Kręci się tu taki chłopak, mniej więcej w twoim wieku, dogadajcie się.

Kiedy zorientowałam się, jak świetna jest historia Mościc, zdecydowałam: „Jak zrobimy wystawę średnią, to spalimy temat”.

Pracowaliśmy więc nad tym kilka lat, ale efekt był znakomity. Mieszkańcy identyfikowali się z wystawą, bo np. czyjs wujek był na zdjęciu, a jednocześnie dostaliśmy świetne recenzje w ogólnopolskich mediach, przyjeżdżali kuratorzy i galerzyści z całej Polski. Tarnowskie centrum turystyczne wydało ulotkę z pomysłem na spacer po Mościcach.

Sztuka współczesna uchodzi za coś zupełnie niezwiązanego ze sztuką dawną. Ta jest komunikatywna, współczesna – hermetyczna. Nam udało się wtedy zasypać ten podział. Dzięki tej wystawie zrozumiałam, że o to właśnie mi chodzi w kierowaniu BWA – o niwelowanie podziału.

To się udało potem w dużych przedsięwzięciach. Na pierwszą wystawę w Pałacyku „Jak się staje, kim się jest”, która opowiadała o młodości, czasie, kiedy wszystko się kształtuje, i Tarnowie, mieście, w którym wszystko się zaczyna, zaprosiliśmy artystów z Niemiec i Czech, a mieszkańcy odnaleźli tam swoje historie. Na „Byliśmy” – wystawie o tarnowskich Żydach – ludzie płakali, patrząc na Kantorowską „Umarłą klasę”. „Wykrój. Miasto. Tarnów” z kolei, na której Marcin Różyc pokazał, jak sztuka opowiada o modzie i co ma z tym wspólnego Tarnów, sprowadził do BWA zupełnie nowych widzów. Organizując w tym roku „Salon wiosenny”, zaprosiliśmy do współpracy artystów awangardowych i tarnowskich tradycjonalistów.

K.JAK KULTURA

To było całkiem niedawno. Spotkanie dyrektorów zorganizowane przez wydział kultury urzędu miasta. Karolina Rozwód, wiceszefowa wydziału i dyrektorka jednego z dzielnicowych domów kultury, oraz kilkunastu mężczyzn. Gdy Karolina Rozwód została dyrektorką Teatru Starego, żartowano, że to po to, by poprawić statystykę. I pytano, czy będzie dyrektorem czy dyrektorką. Woli być dyrektorem. I w ogóle woli nie rozmawiać za dużo o tym, czy bycie kobietą ma w jej pracy znaczenie. Nie lubi tych rozmów, bo z jednej strony zdaje sobie przecież sprawę, że wiele kobiet boryka się z dyskryminacją i nierównościami, z drugiej uważa, że najważniejsze są kompetencje.

Ewa Łączyńska-Widz w Tarnowie trzyma sztamę z dyrektorkami tarnowskich instytucji kultury. W zespole jarocińskiej biblioteki miejskiej jest trzech mężczyzn, zaprzyjaźnionym Spichlerzem Polskiego Rocka kieruje dziewczyna.

I znów trudno o rozmowę. Między słowami wtrąca: „to nie moja zasługa, tylko moich współpracowników”, „to wszystko wynikało z niepewności siebie” – te zwroty wytrzychy mężczyznom na stanowiskach są obce.

Ale nie, nie namyślają się nad byciem kobietą w kulturze, raczej nad byciem w kulturze. Jedna tylko powie, że to marnie opłacana działka, więc nie przyciąga facetów. A ci, którzy czasem się zgłaszają, są okropni.

NAUKA WYCHODZENIA Z PRACY

KAROLINA: Kiedy Bartek wyrósł z chusty, zatrudniłam nianię. Kiedy nauczył się bawić resorakami, wymyśliłam niedzielne zajęcia dla dzieci w teatrze. Bo nie lubiłam spędzać całych dni w tych resorakach, klockach i grzechotkach. Zaczęłam go przyprowadzać do teatru i wciągnął się. Przychodzi ze mną czasem na koncerty. Ale czasem ja nie idę na koncert albo spektakl, bo chcę go zawieźć na trening piłki nożnej, na basen, przeczytać wspólnie książkę albo obejrzeć mecz. Jest kibicem Realu Madryt, więc Ligę Mistrzów oglądamy obowiązkowo.

Jestem ambitną perfekcjonistką, przynajmniej staram się być, więc jeśli coś w pracy idzie nie tak, jak powinno, to przeżywam to osobiście. Ale jednocześnie mam świadomość, że ta praca to nie operacja na otwartym sercu. Dwa lata temu Juliusz Machulski reżyserował u nas „Machię”. Powiedział wtedy, że my przecież żyjemy w kwiatkach – to, co robimy, jest dla innych miłym dodatkiem do życia. Nie mamy wpływu na to, czy będą mieli co zjeść i czy przeżyją operację, możemy tylko sprawiać przyjemność. Oczywiście staram się pracować jak najlepiej, ale pamiętam też, że mój syn ma osiem lat, a to taki wiek, że za chwilę już

uciekną do swoich spraw. Ten czas, który mamy teraz dla siebie, już się nie powtórzy. Pewnie, że wieczorami sprawdzam maile, ale nauczyłam się odcinać od pracy na urlopie. No, w każdym razie nie dzwonię już do pracowników z pytaniem, czy coś się dzieje, tylko oni dzwonią, jeśli coś się dzieje.

EWA: Kiedy odrabiam lekcje z Weroniką, nie odbieram telefonów. Ale potem oczywiście siadam do komputera i załatwiam różne sprawy, piszę teksty do katalogów.

Kiedyś, jak urywałam się z pracy w rodzinnych sprawach, miałam wyrzuty sumienia. Teraz już nie mam. Nauczyłam się, że nie zawsze przecież jestem potrzebna w godzinach urzędowania galerii.

Mój mąż – znamy się od liceum – nie jest związany ze sztuką, zajmuje się budowlami. Wspiera mnie we wszystkim, a przy okazji pozwala złapać dystans. Kiedy przy okazji „1000 lat nowoczesności” Wilhelm Sasnal ustawił przy torach kolejowych w Mościcach rzeźbę z betonowych kręgów ubrudzonych smołą, ludzie żartowali z tego. Przesyłałi sobie zdjęcia z różnych budów z podpisami „Sasnal tu był”. Mogłabym się oburzać, a jednak uznałam to za zabawne. Dobrze jest znać ludzi spoza branży.

JUSTYNA: Choćby wczoraj. Przyszłam do pracy o ósmej i okazało się, że mam ileś nieplanowanych spotkań, bo Agnieszka wezwał burmistrz na rozmowy w sprawie kamienicy. Miasto kupiło właśnie dla biblioteki kamienicę w rynku, mnóstwo z tym zamieszania. No więc spotkania – musiałam szybko się szykować, po drodze wizyta w jednej z naszych filii, bo wcześniej zapowiadałam jakieś bieżące sprawy. Komputer odpaliłam o godz. 15.30. Otworzyłam i zamknęłam, bo maili było kilkadziesiąt, a obiecałam być w domu po 16. Siedziałam potem nad nimi do 23.

Ciągle obiecujemy sobie, że tak już nie będzie, ale ciągle dzieje się coś nowego i musi tak być. Długo zresztą uważałam, że tak właśnie jest najlepiej. Kiedy dwa lata temu skończyłam czterdziestkę, rozejrzałam się po swoim życiu i odetchnęłam z ulgą. Brat ma rodzinę, mama jest zaopiekowana, wszystko zrobione, mogę spokojnie pracować. Wkrótce współorganizowałyśmy piknik w parowozowni. Pojechałam tam. On naprawiał światło, ja potrzebowałam jakiejś pomocy. Przystawianie krzeseł, kawa. No, a potem wyszło, co wyszło. Dlatego staram się wracać do domu o godz. 16. ●

DLA KOGOŚ COŚ JEST
SUPER, DLA INNYCH
TO BĘDZIE OBCIACH.
MUSISZ MIEĆ
SWÓJ KOMPAS
